

Kamil Miszewski

"Tylnymi drzwiami. Czarny rynek w Polsce 1944-1989", Jerzy Kochanowski, Warszawa 2010 : [recenzja]

Miscellanea Anthropologica et Sociologica 14/1, 220-228

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jerzy Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. Czarny rynek w Polsce 1944–1989*, Wydawnictwo Neriton oraz Instytut Historyczny UW, Warszawa 2010, stron 385.

„W czasie wojny wszystko można było dostać – wspominał Franciszek Starowieyski – ale w chwili zapanowania socjalistycznego bałaganu nawet głupstwa stawały się nieosiągalne. I ludzie bardzo szybko zorientowali się w pustyniotwórczej sile socjalizmu. Dowcip: »- Co będzie na Saharze, gdy przyjdą socjaliści? I odpowiedź: – Zabraknie piasku« – wymyślono w 45 roku, gdy zobaczono, jak prędko wraz z socjalizmem wszystko zaczyna się sypać i znikać”¹. Jak pisze sam autor, niniejsza książka jest poświęcona podejmowanym przez społeczeństwo powojennej Polski próbom, zarówno nawodnienia „socjalistycznej pustyni”, jak i wyciśnięcia z niej możliwie wysokich plonów: „Biorąc pod uwagę, że większość oaz i zapasów wody została znacjonalizowana, społeczni aktorzy musieli prowadzić z państwem skomplikowaną, zazwyczaj łamiącą obowiązujące prawo, grę. Trwała ona prawie pół wieku”².

Jak zaznacza autor, książka nie aspiruje do rangi analizy ekonomicznej, socjologicznej lub antropologicznej. Jej celem jest w miarę interdyscyplinarna (z naciskiem jednak na naukę historyczną – autor jest historykiem) rekonstrukcja różnych zachowań, mechanizmów, zjawisk, praktyk, procesów i strategii połączonych wspólnym, czarnorynkowym mianownikiem. Jest to rzecz o mechanizmach i strategiach wielopłaszczyznowych i różnorodnych, zmiennych w czasie i przestrzeni, błyskawicznie reagujących na uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne, o aktorach posiadających własny język i system wartości, grających w tym czarnorynkowym teatrze czasami celowo i wyłącznie dla zysku, czasami pod przymusem i wbrew woli”³.

Gospodarka, jak pisze autor w rozdziale pierwszym książki, zawsze przypomina rzekę płynącą jednocześnie na powierzchni i pod nią. Głębokość, siła nurtu, rodzaj dna, fauna i flora tych podziemnych cieków zależy od bardzo wielu czynników i w każdym kraju wygląda inaczej. Szara strefa wszędzie wiernie towarzyszy oficjalnej ekonomii (w niektórych państwach, jak np. w Afganistanie, jest,

¹ *Franciszka Starowieyskiego opowieść o końcu świata czyli reforma rolna*, spisała K. Uniechowska, Warszawa 1994, s. 132; cytata za: J. Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. Czarny rynek w Polsce 1944–1989*, Warszawa 2010, s. 9.

² *Ibidem*.

³ *Ibidem*, s. 10.

zdaniem autora, wręcz odwrotnie). Zawsze też ma ona swoje charakterystyczne, nieraz wręcz endemiczne cechy, uzależnione m.in. od struktury gospodarczej i społecznej, tradycji, systemu prawnego. Można jednak przyjąć, że w krajach o ugruntowanym i rozwiniętym systemie wolnorynkowym polega ona przede wszystkim na unikaniu podatków i wykorzystywaniu pracy „na czarno”. Inną kwestią są działania *stricte* kryminalne – handel narkotykami, ludźmi, bronią, materiałami rozszczepialnymi, stręczycielstwo. To one są na pierwszych stronach gazet, przynoszą olbrzymie zyski, ale z drugiej strony wpływają w niewielkim stopniu na codzienność szeregowego Francuza, Niemca czy Finna. Przeciętnego obywatela kraju demokracji ludowej – Polaka, Rosjanina czy Rumuna – również zajmował nie tyle czarny rynek uranu czy czołgów, ile raczej jak (i gdzie) kupić buty, benzynę, meble, garnki (i co do tych ostatnich włożyć). Posiadanie pieniędzy nie tyle zapewniało bowiem realizację potrzeb konsumpcyjnych, ile często jedynie uprawniało do zajęcia miejsca w kolejce, bez gwarancji dostania nie tylko wymarzonego produktu, ale wręcz jakiegokolwiek. Jak autor zaznacza, nie jest jego celem dotarcie do oczywistego już stwierdzenia, że charakterystyczną cechą socjalistycznych gospodarek był chroniczny niedobór – dużo istotniejsze jest dla niego nie jego powstawanie, ale próby jego łagodzenia.

Społeczeństwa socjalistyczne z zasady nie zgadzały się z ekonomicznym dyktatem i zwłaszcza tam, gdzie niedobory były szczególnie dotkliwe, stale udoskonalano strategię przystosowawczą. Wykorzystując zazwyczaj tytułowe „drugie drzwi”, drenowano sektor państwowy, rozwijano sieci społeczne nastawione na wzajemną (nie bezinteresowną) pomoc w zdobyciu deficytowych dóbr i usług. Wir drugiej ekonomii wysysał zasoby z pierwszej, reprodukując przy okazji niedobory, prowadzące do nasilania się różnorodnych działań nieformalnych. To zakłete koło, jak je określa autor, doprowadziło w krajach socjalistycznych do powstania nie tylko drugiej ekonomii, ale wręcz „drugiego społeczeństwa”, posiadającego własne zasady etyczne, cele, wzorce, mentalność. Było ono najbardziej widoczne, kiedy spojrzeć pod kątem ekonomicznym.

Gdy prawie cała gospodarka nie tylko zależy od państwa, ale wręcz do niego należy, trudno używać wobec „podziemnej” gospodarki przymiotnika „równoległa”. Równoległość oznacza niezależność, ta zaś nie była cechą socjalistycznej drugiej ekonomii. Związki, przede wszystkim pasożytnicze, były niezwykle ścisłe. To oficjalna sfera była źródłem pieniędzy, surowców czy gotowych wyrobów dla prywatnych – legalnych i nielegalnych – rzemieślników i kupców czy (tylko nielegalnych) przemytników, prywatne domy powstawały z państwowych cegieł i cementu, a samochody jeździły na państwowej benzynie. Ale z drugiej strony można było zauważyć swoistą symbiozę. Państwowe firmy nie mogły pracować (i wykonać planu), nie korzystając z szarostrefowych strategii, zarówno w kontaktach z kooperantami państwowymi, jak i prywatnymi. Często świadomie działano na granicy prawa (nieraz ją zresztą przekraczając), gdyż bez przysłowiowych śrubek dostarczanych przez operatywnych rzemieślników fabryka nie mogłaby funkcjonować. Tym samym starano się nie zadawać zbędnych pytań, m.in. o pocho-

dzenie stali wykorzystywanej do produkcji detali. Jak konkluduje autor, w takiej sytuacji paleta barw stosowanych w gospodarkach rynkowych do definiowania jej nieformalnego odgałęzienia (od szarości do czerni), jest w przypadku gospodarek centralnie planowanych stanowczo za skromna.

Rozdział drugi to próba uświadomienia czytelnikowi, że zjawisko czarnego rynku jest bardzo stare, pojawiło się bowiem praktycznie równocześnie z narodzinami wymiany towarowo-pieniężnej, a dokładniej – z pierwszymi próbami jej ograniczania, reglamentowania i kontrolowania. Powodem mogła być wojna, klęska żywiołowa, pustka w skarbcu, obawa przed buntem pospólstwa. Kontrolę cen i dochodów wprowadził już kodeks Hammurabiego. W IX wieku p.n.e. chińscy urzędnicy nadzorowali zbiory, ustalając następnie poziom cen. Siedem stuleci później Ateńczycy określali maksymalne ceny zboża. Znacznie dalej poszedł cesarz Dioklecjan, wyznaczając w 301 roku n.e. ceny maksymalne na 900 towarów i 160 rodzajów pracy. Zarówno kupcy, jak i rzemieślnicy starali się omijać zakazy, zaś urzędnicy państwowi – takie próby wykryć i ukarać. Autor prowadzi czytelnika aż do czasów nowożytnych, pokazując m.in. reglamentacje wprowadzane przy okazji zarówno pierwszej, jak i II wojny światowej czy kwestię prohibicji alkoholowej w Stanach Zjednoczonych lat 20. oraz – oczywiście – próby ich obejścia.

Rozdział trzeci zatytułowany jest „Polska sinusoida (anty)spekulacyjna: 1944–1989” i jak sama nazwa wskazuje, jest zapisem „zapasów” władzy ze społeczeństwem we wspomnianym okresie. Jak pisze autor: „(...) oczywiście nie przez cały okres powojenny zaopatrzenie było w Polsce jednakowo złe, to jednak nigdy nie udało się osiągnąć równowagi rynkowej – podstawowego czynnika eliminującego zjawiska czarnorynkowe. Niedobór przybierał kształt sinusoidy, która w krótkich okresach prosperity wznosiła się, potem jednak szybko opadała, po drodze opróżniając sklepowe półki i wydłużając kolejki, a władze i społeczeństwo skłaniając do rozwijania coraz wymyślniejszych strategii”⁴. Jako punkt krytyczny można uznać chwilę, kiedy władze nie widziały już innej możliwości niż postępowanie niestandardowe, wykraczające w swoim kształcie zarówno instytucjonalnym, jak i represyjnością poza dotychczasowe normy. Istniały w PRL instytucje zajmujące się przestępczością gospodarczą, tak mundurowe, jak cywilne. Mogły być (i niejednokrotnie były) skuteczne, ale jednocześnie – nawet w warunkach państwa totalitarnego – ograniczone barierą przepisów. Ciężył na nich również zbyt wyraźny stygmat instytucji państwowej, aby mogły liczyć na większą (lub jakąkolwiek) akceptację społeczną. W sytuacjach „podbramkowych” władza powoływała więc komisje nadzwyczajne. Łączyły one w sobie struktury państwa, związków zawodowych, organizacji społecznych, dawały złudzenie uczestnictwa dużych grup ludzi, przy okazji zrzucając na nie niemałą część odpowiedzialności. Komisje powoływano trzykrotnie: w 1945, 1957 i 1981 roku. Łączył je podobny fundament ideologiczny, „wspólnotowy”, egalitarny charakter, język walki – jakby

⁴ Ibidem, s. 49.

przeniesiony prosto z komunikatów wojennych i rodzaj wiary, nie tylko w skuteczność takich działań, ale również przekonanie, że w imię dobra wspólnego są one całkowicie usprawiedliwione. Jednocześnie cechowała je bezradność wobec rzeczywistości.

Kiedy już minęła euforia po wyzwoleniu, trzeba było ponownie odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: jak przeżyć? Najprostszym rozwiązaniem był handel, w bramach i na ulicach każdy – od niedorostka po inteligenta – próbował coś sprzedać. Dla spauperyzowanych inteligentów i głodujących robotników był to przymus. Handel i czarny rynek, nawet doraźnie uprawiany, dawał znacznie większe dochody niż uposażenia tychże grup społecznych. Powojenny okres chaosu, niestabilnej władzy, masowych migracji wewnętrznych i zewnętrznych stwarzał także możliwości przeprowadzania operacji na ogromną skalę, przynoszących równie ogromne zyski. Czynnikiem wspomagającym było przełamanie przez wojnę barier społecznych, moralnych i etycznych, przyzwyczajenie do zachowań, które przed wrześniem 1939 roku wydawały się nie tylko nieakceptowalne, ale wręcz niewyobrażalne.

Pierwszy dekret o zwalczaniu spekulacji i lichwy wojennej został wydany 25 października 1944 roku. Na początku 1945 roku powstał Główny Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją Wojenną, zajmujący się przede wszystkim nielegalnym handlem, spekulacją, paskarstwem i bimbrownictwem. Specjalnie powołane komisje miały jednak także dodatkowy problem: sprawić, by Milicja Obywatelska nie brała łapówek, przymykając oczy na powyższe przestępstwa. Jak pisze autor, było to działanie z góry skazane na niepowodzenie, z powodu zarówno niskiego przeciętnego poziomu moralnego, jak i zarobków funkcjonariuszy (na przykład w maju 1946 roku pewien warszawski milicjant nie mógł pójść na służbę z powodu braku butów⁵). W rezultacie byli oni bardziej skłonni do brania łapówek i prowadzenia własnych interesów niż ścigania paskarzy. W czerwcu 1947 roku cywilne władze stolicy apelowały wręcz, aby „milicjanci, którzy posiadają budki, nie handlowali wódką i żeby przestrzegali przepisów, gdyż demoralizują sąsiednie budki”⁶.

Dopóki komisja uderzała w wielkich spekulantów, była (w miarę) przez społeczeństwo akceptowana. Kiedy jednak zaczęła coraz boleśniej grzebać w kieszeniach i garnkach (już nie mówiąc o życiorysach) zwykłych ludzi, próbujących po prostu jakoś przeżyć, stała się typową instytucją państwową, czyli wrogą. Obozy pracy, które w założeniu miały izolować i reedukować spekulantów krzywdzących „lud”, zapełniały się jego przedstawicielami. W obozie w Mielęcinie – donoszono w anonimie wysłanym w grudniu 1947 roku do Ministerstwa Sprawiedliwości – siedzi 80-90% proletariatu, który dostaje się do obozu z powodu ciężkiej sytuacji gospodarczej⁷.

⁵ Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, Starostwo Grodzkie Śródmiejsko-Warszawskie, 14, k. 36; za autorem, s. 58.

⁶ Ibidem, k. 65; za autorem, s. 58.

⁷ *Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym 1945-1954*, wybór dokumentów, wstęp i oprac. D. Jarosz, T. Wolsza, Warszawa 1995, s. 159; za autorem, s. 61.

Kolejny poważny kryzys przyniosło krwawe stłumienie Czerwca 1956 w Poznaniu. Słabnące po zajściach władze starały się gasić kolejne pożary. Czyniły to w sposób doraźny, fatalny dla rozchwianej gospodarki i dziurawego rynku – pieniędzmi. W 1956 roku zaczął się, trwający również w roku następnym, wzrost płac realnych. Tylko w 1956 roku fundusz płac wzrósł o 17,7%, dochody rolników jeszcze więcej – o 20,4%. Pieniądz zaczął szukać ujścia na rynku i choć rzucano nań do wolnej sprzedaży artykuły do tej pory dostępne tylko na talony czy w innych formach nieformalnej reglamentacji (radioodbiorniki, motocykle, cytrusy itd.), to w rękach społeczeństwa nadal pozostawała masa „gorącego” pieniądza, tym bardziej, że konsumenci stali się bardziej wymagający i nie chcieli kupować zalegających w sklepach bubli. Jak pisze autor, już przed 1956 rokiem informowano, że „konsument domaga się towarów coraz ładniejszych, estetycznych, o lepszej jakości, lepszym wykończeniu, nowoczesnych i modnych, a których przemysł nie dostarcza do handlu w dostatecznych ilościach, już to z powodu trudności technicznych, lub z powodu lekceważenia postulatów handlu”⁸. Oferowany przez uspołecznione sklepy towar był zazwyczaj tak tandetny, a ceny tak wygórowane, że poszukiwanie danego artykułu – jeśli oczywiście komuś zależało na jakości i wzornictwie – zaczynało od „ciuchów”, następnie odwiedzając błyskawicznie rozkwitające komisje i dopiero w ostateczności licząc na państwowego dystrybutora⁹.

Niezaspokojony popyt był tylko jednym z czynników wpływających w latach 1956–1957 na błyskawiczny rozkwit czarnego rynku. Wielorakie skutki miało przyzwolenie na działalność prywatnego rzemiosła i handlu. Potrzebowały one towarów, surowców, półfabrykatów, maszyn, narzędzi. Zdobycie ich legalnie było trudne, sięgano więc po cały wachlarz sposobów nielegalnych. Czasami była to po prostu kradzież z sektora państwowego, czasami skomplikowane operacje handlowe, wymagające olbrzymich kapitałów (również w dewizach) i doskonałej znajomości – często nie polskiego – rynku. Za towary zagraniczne należało płacić walutami obcymi – najczęściej zdobytymi na czarnym rynku. Problemem był również zbyt produkcji. W tym przypadku najlepszym wyjściem było znalezienie państwowego lub spółdzielczego kontrahenta. Zazwyczaj łączyło się to ze skorumpowaniem mniej lub bardziej ważnego urzędnika czy kierownika sklepu. Błyskawicznie zaczęła się rozwijać prywatna – głównie nielegalna – handlowa wymiana zagraniczna. Szerzej uchylone furtki graniczne i poluzowanie przepisów paszportowych spowodowały dosłownie falę wyjazdów. Za granicę wywożono twarde waluty, polskie złote, srebro i dzieła sztuki, „importując” zegarki, złote monety, nylon, galanterię i konfekcję. Na trudności ze zbytem nawet luksusowych towarów nie narzekano. Zapotrzebowanie było olbrzymie, z drugiej zaś strony szybko powstające lub ujawniane fortunki należało możliwie prędko jakoś ulo-

⁸ Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Urząd Rady Ministrów, 27/2, Tajna notatka o sytuacji rynkowej VI-VII 1956, k. 8; za autorem, s. 68.

⁹ Herder-Insitut Marburg, Pressearchive, P 6221, Item 5276/57, Free Market nad Black Market in Warsaw, 1957; za autorem, s. 68.

kować, zbyt dobrze bowiem pamiętano „bandycką” wymianę pieniędzy w 1950 roku. Szukano więc obiektów tezauryzacyjnych: biżuterii, dewiz i złotych monet. Zaczęło się rozwijać budownictwo jednorodzinne (co wzmagало zapotrzebowanie na materiały budowlane) oraz motoryzacja, wraz z którą pojawił się nielegalny obrót benzyną (w 1957 roku zauważono spekulację samochodami).

Jak pisze autor, były to też początkowo działania stosunkowo bezpieczne, w niemałej mierze dzięki tolerancyjnej postawie społeczeństwa: „Do spekulacji wszyscy się tak przyzwyczaili, że pomimo narzekań nie razi ona w codziennym życiu. Przywykliśmy do tego, że kupuje się pokątnie. (...) Ludzie przyzwyczaili się też do tego, że osoby skromnie zarabiające prowadzą wystawny tryb życia, kupują auta, a nawet budują wille. (...) Atmosferze tolerancji towarzyszy atmosfera bezkarności. Speculanci czują się wśród nas dość bezpiecznie. Rzadko zdarza się ktoś, kto sypnie”¹⁰. Jeśli nawet zdarzył się donosiciel, to bezpośrednio po Październiku były spore szanse, by jego informacji nie nadawano dalszego biegu.

W pierwszych miesiącach 1957 roku nowa ekipa okrzepła już na tyle, że mogła zarówno zacząć ochładzać rozbudzone w czasie odwilży nadzieje, jak i przystąpić do zawężania już istniejących marginesów swobody. Dnia 30 sierpnia 1957 roku zarządzeniem premiera Cyrankiewicza zostały powołane Zespoły do Spraw Zwalczania Spekulacji i Nadużyć Gospodarczych (centralny, przy prezesie Rady Ministrów oraz wojewódzkie, kierowane przez przewodniczących prezydiów Wojewódzkich Rad Narodowych).

Po fiasku tzw. reformy cenowej z czerwca 1976 roku władze próbowały walczyć z nasilającymi się objawami kryzysu, ograniczając wzrost płac i dokonując podwyżek, często ukrywanych pod postacią tzw. cen komercyjnych. Zarówno braki, jak i sposoby ich łagodzenia, prowadziły do pogarszania się nastrojów: „Negatywne oceny sklepów komercyjnych, a także sklepów »Pewex« stanowią asumpt do stwierdzeń, że jest to podział społeczeństwa na »kategorie«, »kastę«, »posiadających i biednych« itp., że są to sklepy dla prywaciarzy, złodziei i paserów. Stwierdza się, że sytuacja jest zaprzeczeniem socjalistycznych zasad”¹¹. Kroplą, która przelała czarę goryczy, była decyzja Państwowej Komisji Cen z 24 czerwca 1980 o podwyżce cen niektórych rodzajów mięsa i przetworów.

Zgłaszane w sierpniu listy postulatów zawierały żądania ekonomiczne (często umieszczane przed politycznymi): podwyżka płac, pełne zaopatrzenie rynku, likwidacja cen komercyjnych i eksportu wewnętrznego, reglamentacja mięsa. Historyczne 21 postulatów ze Stoczni Gdańskiej nie stanowiło wyjątku. Mniejszym złem, akceptowanym przez większość społeczeństwa, miała być zapowiedziana w porozumieniach sierpniowych reglamentacja. Kartki na mięso wprowadzono 1 kwietnia 1981 roku, w następnych miesiącach na artykuły zbożowe, ryż, tłuszcze, mydło, proszki do prania, wyroby czekoladowe, alkohol, papierosy. Reglamentacja ta radykalnie ograniczyła możliwości zakupu. Społeczeństwo zaś, dys-

¹⁰ W. Szymańska, *Za ile warto siedzieć*, „Prawo i Życie”, 1957, nr 11; za autorem, s. 70.

¹¹ Archiwum Akt Nowych w Warszawie, KC PZPR, XIA/815, Informacja MSW o zagrożeniach bezpieczeństwa wewnętrznego kraju w lipcu 1978 roku, 7 VIII 1978, k. 11; za autorem, s. 91.

ponując środkami (a posierpniowe podwyżki dały dodatkowy zastrzyk gotówki), próbowało je ulokować w jakimkolwiek trwałym produkcie. W połowie 1981 roku zaczął się napór na artykuły przemysłowe, które w rezultacie błyskawicznie zniknęły z rynku. Niezaspokojony olbrzymi popyt, zarówno na żywność, jak i używki czy artykuły przemysłowe, spowodował – podobnie jak przy poprzednich kryzysach zaopatrzeniowych, tylko na znacznie większą skalę – powstanie nowych i poszerzenie starych, nieoficjalnych kanałów dostępu do towarów. Dnia 10 sierpnia 1981 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę powołującą krajową, wojewódzkie i terenowe Nadzwyczajne Komisje do Walki ze Spekulacją.

Wyniki działania wszystkich trzech komisji nadzwyczajnych można streścić w jednym stwierdzeniu: żaden przepis prawa, zwłaszcza zaostrażający represje, nie jest w stanie przywrócić równowagi rynkowej.

Rozdział czwarty, zatytułowany „Geografia (historyczna) czarnego rynku w Polsce”, nie jest, jak podkreśla autor, szczegółowym rozkładem ośrodków nielegalnego gorzelnictwa, uboju, przemytu czy handlu walutą. Jego celem jest raczej ogólne wskazanie na zależności zjawisk czarnorynkowych od uwarunkowań geograficznych i historycznych. Nie ulega bowiem wątpliwości, zdaniem autora, że np. podziały zaborowe lub II wojna światowa (i będące jej rezultatem zmiany granic i masowe migracje) do dziś wpływają na obraz polityczny, społeczny, gospodarczy i kulturowy Polski.

Nie ma miejsca, by szczegółowo omówić zawartość każdego rozdziału tej książki. Dodam tylko, że w kolejnych autor rozprawia się szczegółowo z czarnym rynkiem mięsa (rozdział piąty), alkoholu (szósty), benzyny (siódmy) dolarów i złota (ósmy) i handlem turystycznym w PRL (rozdział dziewiąty), pokazując ich mechanizmy niejednokrotnie bardzo drobiazgowo, wręcz „technicznie”. Struktura książki nie budzi żadnych zastrzeżeń. Po rozdziałach wprowadzających w ogólny kontekst społeczno-historyczny czarnego rynku na świecie i w Polsce autor przechodzi do szczegółowej analizy „transakcji wymiennych” wyżej wymienionymi dobrami. Zastrzeżeń nie budzi też zastosowana metoda badawcza. Autor sięgnął do bardzo wielu źródeł, zarówno historycznych (Archiwum Akt Nowych, Archiwum IPN, archiwa państwowe rozlokowane w różnych miastach kraju oraz wiele innych), jak i opracowań socjologicznych, nie „gardząc” także analizą prasy, pamiętnikami, literaturą piękną czy osobistymi rozmowami, co sprawia, że temat opracowany jest w sposób rzeczywiście interdyscyplinarny. Autor nie uległ też pokusie, by zając się wszystkim – zgodnie z wyznawaną przez niego zasadą, że próba zaprezentowania wszystkiego prowadzi często do powstania obrazu pełnego luk. „Na warsztat” wziął zatem te obszary czarnego rynku, które wykazywały się masowością, odpowiednio długim czasem trwania i uniwersalnym występowaniem geograficznym. Pomiął więc na przykład nielegalny handel tytoniem, który zanikł na przełomie lat 40. i 50., powracając jedynie na krótko w latach 80., spekulację książkami, ograniczoną przede wszystkim do lat 80. i jednocześnie do stosunkowo wąskiej grupy zainteresowanych, czy kwestię tzw. koników, oferujących bilety do kina czy na imprezy sportowe.

Reakcje społeczne na niedobory poprzedniego ustroju gospodarczego to rzecz już zbadana i powszechnie znana, natomiast dla socjologa czy społecznie zorientowanego kryminologa ciekawy jest tu inny kontekst – reakcja społeczeństwa na sam fakt istnienia czarnego rynku, jego reguły i ludzi odgrywających w nim mniejsze lub większe role. Pokazanie tego jest niewątpliwym walorem książki.

Pewna część społeczeństwa (często wcale niemała) wykazywała się całkowicie spontaniczną, oddolną kreatywnością i mobilnością, opracowywała własne biznesplany, oceniała szanse zysków i strat, gromadziła kapitał, w końcu przeprowadzała transakcje. Chyba nie zdając sobie z tego sprawy, budowała zawieszoną między dwoma światami „przestrzeń pośrednią”, jak ją określa autor, wyłamującą się ze sztywnych, wytyczonych przez ideologię ram. To jednak tylko jedna strona medalu. Rozumiejac całą skomplikowaną sieć kontekstów i zależności, można stwierdzić, że czarny rynek był jednak kryminalizowaniem codzienności, przyzwyczajaniem do – w powszechnym rozumieniu usprawiedliwionego – łamania prawa. W 1964 roku „Trybuna Ludu” opisała przypadek pewnego nauczyciela, budującego domek jednorodzinny. Próbował zrobić to uczciwie, ale „w żaden sposób nie mógł kupić, w legalny sposób, grzejników do centralnego ogrzewania. W tym samym czasie nie przedstawiało żadnych trudności nabycie ich z »przecieków«. Wszyscy budujący domki w sąsiedztwie w ten właśnie sposób się zaopatrywali. Nauczyciel zamiast centralnego ogrzewania postawił koksowy piec stałopalny. Jest w zgodzie ze swoim sumieniem, choć sąsiedzi patrzą na niego jak na dziwaka”¹². Jak pisze autor, nie ulega wątpliwości, że obie powyższe perspektywy były powszechne i nie brakowało również takich, którzy albo z racji braku jakichkolwiek handlowych zdolności, albo tradycyjnego rozumienia prawa czy w końcu ograniczeń finansowych nie uczestniczyli w czarnorynkowej grze bądź nie akceptowali jej reguł.

Sięganie po zasoby państwowe, na których bazowała znaczna część (jeśli nie większość) alternatywnych działań ekonomicznych społeczeństwa, w niemałym stopniu nakręcało spiralę niedoborów, jeszcze bardziej dezorganizując i tak kulejącą państwową dystrybucję oraz utrudniając zaopatrzenie grup najbardziej upośledzonych społecznie i ekonomicznie. Autor niejednokrotnie dobitnie podkreśla, że czarny rynek nie był (i nie jest) instytucją charytatywną, lecz jego czynni aktorzy w pełni korzystali z uprzywilejowanego stanowiska, dyktując monopolistyczne ceny, na które mogli sobie pozwolić nie tyle najbardziej potrzebujący, ile najsilniejsi ekonomicznie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że czarny rynek promował zamożnych, odważnych i silnych, wykluczał natomiast znaczną część słabych i biednych. Gospodarstwa domowe dokonywały więc prostych szacunków swoich budżetów, oceniając granicę możliwych do akceptacji cen. Decydowano, co można ewentualnie kupić drożej na czarnym rynku, co zaś – również dzięki odpowiednim strategiom – wyłowić z oficjalnych kanałów dystrybucyjnych.

¹² B. Lewicki, *Przestępcy mimo woli*, „Trybuna Ludu”, 20.10.1964; za autorem, s. 343.

Jeżeli też pozycja przeciętnego konsumenta wobec państwowego dystrybutora była słaba, to na czarnym rynku nie miał już praktycznie żadnych praw (mógł najwyżej na nim nie kupować). Korzystając z oficjalnego, państwowego czy spółdzielczego handlu, mógł liczyć na ustawowo zagwarantowane drogi dochodzenia swych praw konsumenckich, zareklamować wadliwy towar, wpisać się do „książki skarg i zażaleń” i oczekiwać obligatoryjnej odpowiedzi (która oczywiście najczęściej niczego ani nie zmieniała, ani nie rozwiązywała). Transakcje zawierane na czarnym rynku, zwłaszcza przez przypadkowego uczestnika, nie były zagwarantowane w żaden sposób. O zakup nieświeżego mięsa, trującej wódki czy fałszywych dolarów można było mieć pretensje najwyżej do siebie. Jak konkluduje autor, tę szkołę wolnego rynku, w której przymusowo uczestniczyło polskie (i nie tylko) społeczeństwo, można przyrównać raczej do „złodziejskich akademii” w więzieniach niż do szkół kupieckich.

Kamil Miszewski